

Medycyna w przyrodzie

Instynkt lekarski u zwierząt

— Jak sobie radzą zwierzęta, gdy zachorują? — oto pytanie, które sobie stawia dr. Wilbert, J. Deason z Chicago w artykule, ogłoszonym przez „Popular Science” w Nowym Jorku.

— Zwierzęta — odpowiada na to pytanie dr. Deason — umieją nie tylko leczyć swe choroby, ale również przewidywać je. Poznały doskonale wartość środków przeczyszczających i witamin, o wiele dawniej, niż król stworzenia. Rozumieją rolę słońca, cienia, spokoju. Uświadamiają sobie konieczność higieny i celują w sztuce bandażowania ran, w niektórych zaś przypadkach operują szczęśliwie złamaniami kości.

WITAMINY.

Od lat 20-tu znamy potrzebę witamin w organizmie.

Od lat dwudziestu wiemy, do jakiego stopnia organizm potrzebuje witamin. Uczeń odkrył, że witaminy pozwalają organizmowi walczyć skutecznie z inwazją wszelkiego rodzaju mikroorganizmów, organizm zaś, zawierający witaminy, jest szczególnie odporny na choroby oczu. Niektóre z witamin wzmagają apetyt i ułatwiają wzrost. Inne sprzyjają rozwojowi kości. Inne chronią od rachityzmu, są wreszcie witaminami, koniecznymi przy zachowaniu gatunku.

Odkryto, że te tak konieczne dla organizmu substancje znajdują się w zielonych częściach roślin, szczególnie zaś obfitują w nie jarzyny, marchew, buraki, rzepak, pomidory, pozątem owoce.

Później odkryto, że niektóre gruczoły zawierają, prócz hormonów, substancji o nieznanym bliżej naturze chemicznej, również i witaminy.

Otóż zwierzęta doskonale zdają sobie sprawę z tych właściwości roślin i gruczołów zwierzęcych. Na wiosnę, gdy ziemia pokrywa się świeżą trawą, konie i owce poszukują starannie kępek trawy zielonej, mimo, że na pastwisku pozostaje spora ilość suchego siana z roku zeszłego. Zielonej trawy jest mało i zwierzęta muszą żerować dzień cały, nie odstrasza ich to jednak i zamiast skorzystać z okazji napełnienia swych żołądków w ciągu kilku godzin, cierpliwie, systematycznie pościągają w tym celu znacznie większą ilość czasu. Instynktownie czują, że trawa zielona zawiera cenną witaminę A, która uodparnia je przeciwko licznej chorobie.

Dr. Deason zaobserwował, że jelenie odwiedzają nawet głębokie wody, w poszukiwaniu korzeni nenufarów, kanadyjskie zaś łosie, zwane karibui, rozgrzebują bardzo głęboko śnieg w poszukiwaniu pierwszych paków roślin i przebiegają olbrzymie przestrzenie moczarów, aby znaleźć odrobinę świeżego mchu.

ROLA ZIOŁ.

Z chwilą, gdy zwierzę poczuje się niezdrowe, natychmiast ucieka się do środka przeczyszczającego. Ciekawe to zjawisko można zauważyć u kotów domowych, a zwłaszcza u psów, które bardzo często wybiegają na pole, wyszukują odpowiednie trawy i pożerają je, choć nie są trawożerne. Każdy z nas widział takie sceny i zwrócił na nie uwagę.

Ogólnie biorąc, rośliny pożerane przez psy i koty, mają działanie czyszczące. Do środków tego rodzaju ucieka się również i niedźwiedź, zwłaszcza po długim śnie zimowym, kiedy wszystkie funkcje jego organizmu budzą się do nowego życia.

Łosie i jelenie, odżywiające się roślinami, mają na ogół zdrowe żołądki i bardzo rzadko uciekają się do środków przeczyszczających. Natomiast często się zdarza, że muszą korzystać z substancji ściągających, jak tanina. Dr. Deason przytacza jako przykład kilka roślin, wymienianych na pierwszym miejscu korę dębową.

DJETA SPECJALNA.

W pewnych wypadkach zwierzęta stosują dietę. Można to łatwo zauważyć wśród dzikich osłów i zebra. Dr. Deason stwierdza, że żrebne osły zachowują wyjątkowo czystą dietę. Odżywiają się wówczas pewnymi gatunkami traw, których w innym okresie życia nie jedzą.

Każdy traper wie doskonale,

jak trudno jest otruć wilka. Gdy zwierzę to przeżuwa groźące niebezpieczeństwo, zrzuca natychmiast zjedzoną trawkę, poczem głośnie przez czas dłuższy i wreszcie przechodzi na dietę.

SŁOŃCE I HIGIENA.

Zwierzę gorączkujące wybiera zawsze miejsca zacienione, dobrze przewietrzane, położone opodal wody bieżącej. Pozostaje w spokoju czas dłuższy, nie nie je, natomiast obficie pije wodę. Czyż nie w identyczny sposób zachowuje się człowiek chory na febrę?

Jeżeli zwierzę cierpi na reumatyzm, wówczas, jak to ustalił dr. Deason, wybiera miejsce ciepłe

i słoneczne, przezuwając instynktownie, że te dwa czynniki zwalczają jego chorobę. Nie potrzebujemy chyba robić porównań, gdyż każdy z nas zna rolę kąpiele słonecznych i ciepła przy leczeniu reumatyzmu.

Co do zabiegów toaletowych i higienicznych, to dr. Deason omawia szeroko znane wszystkim postępowanie kotów, które myją się codziennie, dalej — kąpiele ptaków i zwierząt, wreszcie ich uporczywą walkę z pasorczytami.

Wszystko to świadczy o niezwykłej zmyślności i inteligencji zwierząt, które doszły instynktownie do tych samych wyników, do jakich doszedł człowiek.

Eros szalony

Kobiety obłąkane z miłości

W pobliżu Paryża znajduje się wielki szpital dla umysłowo chorych. Jest to zakład, w którym przebywa na kuracji około 2500 obłąkanych, dorozorowanych przez 600 pielęgniarzek. Ponadto opiekę nad chorymi rozciąga zespół kilkudziesięciu lekarzy psychiatrów. Prowadzą oni niezmienne interesujące doświadczenia wśród swoich pacjentów. Do grona tych lekarzy należy panna Konstancja Pascal. Bada ona i stara się odkryć źródło i przyczynę obłądów, a wyniki jej pracy są bardzo doniosłe i wywołały żywe zainteresowanie w sferach lekarskich. Panna Pascal, mimo, że niekiedy przyznaje rację sławnemu Freudowi, przeważnie jednak nie zgadza się z nim, zarzucając jego modnej teorii „kompleksów” zbyt dużą powierzchowność. Jak wiadomo, Freud dopatruje się u ludzi podświadomych uczuć kaziodejczych, tymczasem — jak twierdzi panna Pascal — ten sławny freudowski „kompleks Edypa” znalazła wśród swoich licznych pacjentek zaledwie w trzech, czy czterech przypadkach.

— Człowiek rodzi się pociąg, aby żyć, a nie pociąg, aby kochać — oświadczyła lekarka, — a Freud zapomina także i o tym, że oprócz lansowanej przez niego „miłości triumfującej”, istnieje także psychoza głodu i psychoza lęku. Iluż ludzi dostaje obłądów wskutek tragicznych przeżyć, spowodowanych nędzą i kryzysem — głodem i ciężkimi warunkami materialnymi. A iluż żołnierzy leczy się dotychczas w szpitalach, gdzie ich umieszczono jako ofiary depresji nerwowej i szalonej trwogi, jaką przeżyli podczas wojny. Nie ma więc racji Freud, wysuwając miłość jako główny promotor i źródło wszelkich schorzeń psychicznych. Obok miłości istnieje jeszcze lęk i głód.

Niemniej jednak liczne przypadki choroby umysłowej posiadają podłoże erotyczne. Zazwyczaj i przeważnie kobiety chore psychicznie — to kobiety obłąkane z miłości.

Konstancja Pascal poświęciła się przede wszystkim badaniu kobiet chorych z miłości. Bo miłość, jej zdaniem — a zwłaszcza miłość nieszczęśliwa, nie jest tylko pełnym melancholij stanem duszy, lub też dręczącym niepokojem, czy tragicznym buntem — jest to także choroba organiczna, cierpienie fizyczne, które podkopuje w wielkim stopniu siły żywotne. Panna Pascal stara się przeniknąć poprzez obłądne drogi, jakimi krąży myśl chorej i odnaleźć impuls, który wywołał zaburzenia w jej umyśle. Przy badaniu stosuje metodę analizy, przeprowadzanej w warunkach, umożliwiających swobodne wypowiedzianie się obłąkanych. Kładzie ona specjalny nacisk na to, aby chore jaknajwięcej mówiła. Jest to coś w rodzaju spowiedzi psychoanalitycznej. Lekarka stara się rozmawiać z chorą w ten sposób, aby nie wytrącać jej z kręgu jej obłądnych myśli. Wypytuje obłąkaną, podtrzymując jej urojenie. Technika tego badania przypomina wnikliwe i perfidnie śledztwo, a dr. Konstancja Pascal utrzymuje, że właśnie tylko wtedy, kiedy obłąkana prowadzi dialog, można odkryć przyczynę jej schorzenia.

W szpitalu, przy którym znajduje się park o powierzchni 50 hektarów, chore mają możliwość największą swobodę. Chodzi o to, aby czuły się jaknajlepiej i miały wrażenie, że przebywają w warunkach normalnych, a nie w domu zdrowia.

Pełno jest tych chorych kobiet. Pełno tych tragicznych istot, które na smutnej ścieżce swego życia spotkały obłąkanego Erosa. Są wychudłe melancholiki ze smętnie zwieszonymi głowami, są nieszkodliwe, pogodnie uśmiechnięte marzycielki, erotomanki z dziwnym uśmiechem na twarzy, wykonywujące nieprzyzwoite gesty i histeryczki.

Jakś wychudła postać przechadza się po pełnym kwiatów ogrodzie. Jest to zmierzowana kobieta z oczami wzniesionymi ku niebu i na krzyż złożonymi rękami. Na piersiach ma zawieszony duży krzyż. Jest to kobieta, która zakochała się w duchownym. Upiorna w swej brzydocie, nieszczęśliwa istota, której życie upłynęło w ponurej samotności, rozkochała się w swoim spowiedniku. Jej biedna miłość, która narodziła się w cieniu konfesyjonału, wywiodła ją na ciemną, krętą i nieskończoną drogę obłądów.

Inna znów chora siedzi na ławce i uśmiecha się bezmyślnie. W rękę trzyma kwiatek. Lekarka pyta ją:

— Cóż ci zrobił twój mąż? Przecież kochał cię. Byłaś bardzo szczęśliwa! Czy ci zrobił krzywdę?

Chora uśmiecha się pogodnie w dalszym ciągu. — Nie, nie zrobił jej krzywdy. Ale zabiła go, bo kochała innego. Chciała tamten być gorszy od męża. Łajdak i oszust. Ale go kochała. Podnosi rękę do serca.

— Był taki miły! Pomagałam mu, dawałam pieniądze. Jego obraz tkwi w moim sercu.

Jeszcze inna chora, młoda, tęga kobieta wpatruje się bezmyślnie w przestrzeń. Myśli stale o swoim urojonym kochanku, który nigdy nie istniał. Tęskni do tego wytworu swej imaginacji i żalosi nie szlocha. Nikt jej nie uspokoja. Powinna się wypłakać. To przyniesie ulgę jej nerwom.

Idźmy dalej poprzecz ogród kobiet chorych z miłości. Na nasze spotkanie wychodzi i wysoka, smukła kobieta. Błogi uśmiech jest rozlany na jej twarzy. W rękę trzyma walizę, z którą wyrusza w krainę swych dziwacznych marzeń. Matowym, zdyszczanym głosem obwieszcza:

— Ja jestem księżniczka Othon. Cały świat należy do mojego oblubieńca. Tę noc spędziłam z nim na dalekiej gwiazdzie. Ale tam ukradli mi klucze do mojego pałacu. Gdzie są klucze do mojego pałacu?

Rozpoznanie lekarskie stwierdziło, że ta smutna, błędna „księżniczka” to dziewczyna, która dostała obłądów wskutek przymusowego celibatu.

— I gdyby ci wszyscy autorzy komedii i skeczów na temat starożytnych panien przyszli tu kiedykolwiek i zobaczyli te nieszczęśliwe istoty, które oszalały dlatego, że w życiu ich nie było ani odrobiny miłości, napewno przestali by pisać na ten temat — dodaje panna Pascal.

Za smutną „księżniczką” posuwa się z trudem o kulach jakaś starsza kobieta. Spogląda bolesnie, żalosiennie. W rzeczywistości wcale nie jest kaleką i doskonale może chodzić o własnych siłach. Udaje jednak i wmawia w siebie, że ją boli noga. A obok niej idzie starsza, tęga kobieta. Z bukiem w rękę. To też ofiara miłości. Kochała się w lekarzu. Lekarz ten stracił żonę i wówczas stara, brzydka panna Amelia z bukiem róż białych czekała na niego przed wejściem na cementarz i powiedziała do niego — pociesz się. A potem, kiedy wzgardził jej miłością, uświłowała zastrzelić się, wreszcie wpadła w obłąd.

Na trawnik w tym dziwnym ogrodzie pada nagle blask światła słonecznego, odbitego w lusterku. W lusterku przegląda się jakaś chora. W gładkiej powierzchni odbija się wizerunek kobiety o obłądnym spojrzeniu i skrzywionej jakby spazmem twarzy, okolonej potarganymi włosami. Te wszystkie kobiety, które tu się znajdują, mają ten sam wyraz twarzy, to samo spojrzenie, nieomal te same rysy. Są do siebie wszystkie podobne, mają jednakową maskę. Kobiety, dotknięte strzałą Erosa, który oszalał.

Wojna przyszłości

Co o niej pisze włoski generał Douhet

Było to 26 lat temu. Włoski major Douhet, dowódca oddziału balonów, nazwał go „bronią powietrzną” i miał z tego tytułu targ z swymi władzami, które ożrekiły, że tak szumna nazwa dla kilku balonów jest nieodpowiednia, a nawet śmieszna.

Ale na tym nie skończyły się utarczki Douheta z przełożonymi. Musiał nawet odsiedzieć karę rocznego więzienia, mimo to aż do swej dymisji (w r. 1921), Douhet trwał przy swoich zapatrywaniach. Walczył z przełożonymi, kolegami, podkomendnymi, z opinią publiczną, a często i z własną niepewnością o właściwe miejsce dla nowego środka prowadzenia wojny — dla broni powietrznej.

Dotychczas — powiada gen. Douhet — nawet wśród wojskowych mało jest takich, którzy tę wielką zmianę należycie ocenili, a jeszcze mniej tych, którzy ją zrozumieli. Wszyscy wciąż trzymają się kurczowo tych sposobów prowadzenia wojny, jakie im przekazała tradycja i wystudjowane dzieła. Ale przyszłość należy do tego narodu, który i duchowo i pod względem wojskowym najszybciej przygotował się zdoła do takiej wojny powietrznej i najłatwiej zerwie z tradycją.

Jak sobie Douhet tę wojnę powietrzną wyobraża? Najwyżej w kilka godzin po wypowiedzeniu wojny, a może nawet przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych, wzniosą się liczne eskadry samolotów, obciążonych ciężkimi bombami, i skierują się do swego celu — do nieprzyjacielskiego zaplecza. Zaden z nich nawet chwili się nie zatrzyma nad okopami nieprzyjacielskimi. Byłoby to bezcelowe ze względu na olbrzymie przestrzenie, które obejmują broń lotniczą, sięgającą nie tylko kilometrów w górę, ale i setki kilometrów włąb danego kraju.

Dlatego też generał jest przeciwnikiem szybkich samolotów, a zawrotne szybkości uważa nawet za zupełnie bezcelowe, za zbędny niczym nieusprawiedliwiony. Według niego samoloty powinny być bardzo duże i bardzo silne, prawdziwe krążowniki powietrzne, mogące zabrać z sobą olbrzymie masy bomb i broni, aby w razie potrzeby skutecznie stawić czoło pościgowym samolotom nieprzyjaciela.

Gen Douhet jest przekonany, że pierwsze etapy takiej walki spowodują bardzo liczne i dotkliwe straty, że niełatwo dotrzeć będzie można nad miasta nieprzyjacielskie, lecz przy największych nawet stratach te samoloty, które ocaleją, najzupełniej wystarczą do poczynienia takich spustoszeń, że siła moralna nieprzyjaciela będzie całkowicie złamana.

— Umowy międzynarodowe? A kłoby się o nie troszczył! — powiada z pogardą Douhet. Kto wali czy na śmierć i życie — a inaczej dzisiaj walki się nie prowadzi! — ten ma święte prawo korzystania z wszelkich środków i sposobów, bo inaczej sam pójdzie na dno. Byłoby szaleństwem narażać własny naród na nieszczęście i klęskę tylko dlatego, aby nie postąpić wbrew jakimś tam papierowym układom. Te ograniczenia są jedynie oklamywaniami się o charakterze międzynarodowym, skoro we wszystkich krajach na świecie prowadzone są badania nad udoskonalaniem gazów trujących, a przecie nikt w to nie wierzy, że te badania robione są tylko dla celów naukowych.

— Powiecie na to — zwraca się Douhet do przeciwników swej teorii, — że nieprzyjaciół rozprowadza artylerię zenitową i że jego samoloty będą próbowały zniszczyć eskadry napastnika. Ale taka obrona jest niemożliwa, gdyż każdy kraj posiada niezliczoną ilość miast, ośrodków przemysłowych i węzłów komunikacyjnych. A ponieważ nigdy nie można zgóry przewidzieć celu danego ataku powietrznego, więc obrona wszystkich tych punktów jest niepodobna.

Dawniej, aby dotrzeć do jakiegokolwiek punktu w kraju nieprzyjacielskim, trzeba było po drodze złamać opór armii tego kraju. Dziś nie jest to konieczne. Wystarczy mieć o tyle silną flotę powietrzną, aby choć kilka samolotów zdołało dotrzeć do nieprzyjacielskiego zaplecza.

Niszczenie floty powietrznej nieprzyjaciela nie jest, według Douheta, konieczne. Zresztą nieprzyjaciół może takiej walki nie przyjąć. Ale zato można doszczętnie zniszczyć wszystkie jego ośrodki przemysłowe, porty, dworce i t. d., można wreszcie całkowicie wytepić ludność miast. W jaki sposób? Jednym ze sposobów atakowania z powietrza są osłony gazowe, które robi się z gazów, cięższych od powietrza. Osłona jest zupełnie niewidoczna, osłania stopniowo nad miastem i niszczy w nim wszystko — od dachów aż do piwnic. Nie ocaleje nikt. Kto taki atak przeżyje, wymusi na rządzie, by przestał prowadzić wojnę!

Gen Douhet, dowódca oddziału balonów, nazwał go „bronią powietrzną” i miał z tego tytułu targ z swymi władzami, które ożrekiły, że tak szumna nazwa dla kilku balonów jest nieodpowiednia, a nawet śmieszna.

Ale na tym nie skończyły się utarczki Douheta z przełożonymi. Musiał nawet odsiedzieć karę rocznego więzienia, mimo to aż do swej dymisji (w r. 1921), Douhet trwał przy swoich zapatrywaniach. Walczył z przełożonymi, kolegami, podkomendnymi, z opinią publiczną, a często i z własną niepewnością o właściwe miejsce dla nowego środka prowadzenia wojny — dla broni powietrznej.

Dotychczas — powiada gen. Douhet — nawet wśród wojskowych mało jest takich, którzy tę wielką zmianę należycie ocenili, a jeszcze mniej tych, którzy ją zrozumieli. Wszyscy wciąż trzymają się kurczowo tych sposobów prowadzenia wojny, jakie im przekazała tradycja i wystudjowane dzieła. Ale przyszłość należy do tego narodu, który i duchowo i pod względem wojskowym najszybciej przygotował się zdoła do takiej wojny powietrznej i najłatwiej zerwie z tradycją.

Jak sobie Douhet tę wojnę powietrzną wyobraża? Najwyżej w kilka godzin po wypowiedzeniu wojny, a może nawet przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych, wzniosą się liczne eskadry samolotów, obciążonych ciężkimi bombami, i skierują się do swego celu — do nieprzyjacielskiego zaplecza. Zaden z nich nawet chwili się nie zatrzyma nad okopami nieprzyjacielskimi. Byłoby to bezcelowe ze względu na olbrzymie przestrzenie, które obejmują broń lotniczą, sięgającą nie tylko kilometrów w górę, ale i setki kilometrów włąb danego kraju.

Dlatego też generał jest przeciwnikiem szybkich samolotów, a zawrotne szybkości uważa nawet za zupełnie bezcelowe, za zbędny niczym nieusprawiedliwiony. Według niego samoloty powinny być bardzo duże i bardzo silne, prawdziwe krążowniki powietrzne, mogące zabrać z sobą olbrzymie masy bomb i broni, aby w razie potrzeby skutecznie stawić czoło pościgowym samolotom nieprzyjaciela.

Gen Douhet jest przekonany, że pierwsze etapy takiej walki spowodują bardzo liczne i dotkliwe straty, że niełatwo dotrzeć będzie można nad miasta nieprzyjacielskie, lecz przy największych nawet stratach te samoloty, które ocaleją, najzupełniej wystarczą do poczynienia takich spustoszeń, że siła moralna nieprzyjaciela będzie całkowicie złamana.

— Umowy międzynarodowe? A kłoby się o nie troszczył! — powiada z pogardą Douhet. Kto wali czy na śmierć i życie — a inaczej dzisiaj walki się nie prowadzi! — ten ma święte prawo korzystania z wszelkich środków i sposobów, bo inaczej sam pójdzie na dno. Byłoby szaleństwem narażać własny naród na nieszczęście i klęskę tylko dlatego, aby nie postąpić wbrew jakimś tam papierowym układom. Te ograniczenia są jedynie oklamywaniami się o charakterze międzynarodowym, skoro we wszystkich krajach na świecie prowadzone są badania nad udoskonalaniem gazów trujących, a przecie nikt w to nie wierzy, że te badania robione są tylko dla celów naukowych.

— Powiecie na to — zwraca się Douhet do przeciwników swej teorii, — że nieprzyjaciół rozprowadza artylerię zenitową i że jego samoloty będą próbowały zniszczyć eskadry napastnika. Ale taka obrona jest niemożliwa, gdyż każdy kraj posiada niezliczoną ilość miast, ośrodków przemysłowych i węzłów komunikacyjnych. A ponieważ nigdy nie można zgóry przewidzieć celu danego ataku powietrznego, więc obrona wszystkich tych punktów jest niepodobna.

Dawniej, aby dotrzeć do jakiegokolwiek punktu w kraju nieprzyjacielskim, trzeba było po drodze złamać opór armii tego kraju. Dziś nie jest to konieczne. Wystarczy mieć o tyle silną flotę powietrzną, aby choć kilka samolotów zdołało dotrzeć do nieprzyjacielskiego zaplecza.

Niszczenie floty powietrznej nieprzyjaciela nie jest, według Douheta, konieczne. Zresztą nieprzyjaciół może takiej walki nie przyjąć. Ale zato można doszczętnie zniszczyć wszystkie jego ośrodki przemysłowe, porty, dworce i t. d., można wreszcie całkowicie wytepić ludność miast. W jaki sposób? Jednym ze sposobów atakowania z powietrza są osłony gazowe, które robi się z gazów, cięższych od powietrza. Osłona jest zupełnie niewidoczna, osłania stopniowo nad miastem i niszczy w nim wszystko — od dachów aż do piwnic. Nie ocaleje nikt. Kto taki atak przeżyje, wymusi na rządzie, by przestał prowadzić wojnę!

Gen Douhet, dowódca oddziału balonów, nazwał go „bronią powietrzną” i miał z tego tytułu targ z swymi władzami, które ożrekiły, że tak szumna nazwa dla kilku balonów jest nieodpowiednia, a nawet śmieszna.

Ale na tym nie skończyły się utarczki Douheta z przełożonymi. Musiał nawet odsiedzieć karę rocznego więzienia, mimo to aż do swej dymisji (w r. 1921), Douhet trwał przy swoich zapatrywaniach. Walczył z przełożonymi, kolegami, podkomendnymi, z opinią publiczną, a często i z własną niepewnością o właściwe miejsce dla nowego środka prowadzenia wojny — dla broni powietrznej.

Dotychczas — powiada gen. Douhet — nawet wśród wojskowych mało jest takich, którzy tę wielką zmianę należycie ocenili, a jeszcze mniej tych, którzy ją zrozumieli. Wszyscy wciąż trzymają się kurczowo tych sposobów prowadzenia wojny, jakie im przekazała tradycja i wystudjowane dzieła. Ale przyszłość należy do tego narodu, który i duchowo i pod względem wojskowym najszybciej przygotował się zdoła do takiej wojny powietrznej i najłatwiej zerwie z tradycją.

Jak sobie Douhet tę wojnę powietrzną wyobraża? Najwyżej w kilka godzin po wypowiedzeniu wojny, a może nawet przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych, wzniosą się liczne eskadry samolotów, obciążonych ciężkimi bombami, i skierują się do swego celu — do nieprzyjacielskiego zaplecza. Zaden z nich nawet chwili się nie zatrzyma nad okopami nieprzyjacielskimi. Byłoby to bezcelowe ze względu na olbrzymie przestrzenie, które obejmują broń lotniczą, sięgającą nie tylko kilometrów w górę, ale i setki kilometrów włąb danego kraju.

Dlatego też generał jest przeciwnikiem szybkich samolotów, a zawrotne szybkości uważa nawet za zupełnie bezcelowe, za zbędny niczym nieusprawiedliwiony. Według niego samoloty powinny być bardzo duże i bardzo silne, prawdziwe krążowniki powietrzne, mogące zabrać z sobą olbrzymie masy bomb i broni, aby w razie potrzeby skutecznie stawić czoło pościgowym samolotom nieprzyjaciela.

Gen Douhet jest przekonany, że pierwsze etapy takiej walki spowodują bardzo liczne i dotkliwe straty, że niełatwo dotrzeć będzie można nad miasta nieprzyjacielskie, lecz przy największych nawet stratach te samoloty, które ocaleją, najzupełniej wystarczą do poczynienia takich spustoszeń, że siła moralna nieprzyjaciela będzie całkowicie złamana.

Zaraz po Mszy św. orkiestra

K. G.

Zaraz po Mszy św. orkiestra